

## POLEMIKI

### *Furor Sikorscianus, czyli pryncypialny strażnik ortodoksji<sup>1</sup>*

*„Autor pragnie poinformować czytelników, iż podczas przygotowywania tekstu... nieobce mu były tak podstawowe chwytły, jak: tendencyjny dobór materiału, preparowanie fragmentów, wyrywanie cytatów z macierzystego kontekstu, ogólnie zła wola oraz szereg innych pomniejszych ekscesów krytycznoliterackich”<sup>2</sup>*

Bardzo przepraszam doktora habilitowanego Dariusza Andrzeja Sikorskiego, że napisałem i, co gorsza, opublikowałem książkę „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”. Przepraszam, bo Autor rozległej „recenzji” sam najwyraźniej przygotowuje książkę poświęconą naszemu pierwszemu władcy. W swojej skromności tego zamiaru nie zdradza, ale z rozsznycanych po Jego tekście uwag można łatwo wyczytać zarys Jego poglądów. Spróbuję streścić potencjalną zawartość takiego dzieła z pomocą Jego własnych przemyśleń:

a) w okresie przedpaństwowym istniały oczywiście „struktury plemienne, na czele których stali »plemienni książęta«” (s. 185);

b) za nazwami zawartymi w „przekazach źródłowych z epoki” (np. w tzw. Geografie Bawarskim) oczywiście „kryją się realne jednostki etniczne zamieszkujące konkretne terytoria” (s. 186);

c) potwierdzenie etnonimów połabskich jest dowodem realności plemion „polskich” (s. 186);

d) błędne są podejrzenia, że „nie istniało żadne plemię Polan w Wielkopolsce, a nazwa *Polonia* powstała ok. 1000 r.” (s. 186);

e) około połowy X w. nie było jednego ośrodka budowy państwa, lecz kilka, które „dopiero przez Mieszka zostały zjednoczone” (s. 190);

f) nie można uznać, że „budownictwo grodowe dokumentuje koncentrację władzy piastowskiej” (s. 196);

g) nie ma sensu dyskusowanie o charakterze terytorialnej zwierzchności pierwszych Piastów;

h) „wiemy, jak brzmiało imię Mieszka w formie, którą się posługiwał”<sup>3</sup> (s. 191);

i) poprawna wizja roli Wichmana „absolutnie nie pozwala traktować go jako czasowego nawet przywódcę jakiejś choćby niewielkiej formacji terytorialnej Słowian” (s. 188);

j) nie może być mowy o jakimkolwiek skoordynowaniu akcji Wichmana i Gerona (s. 196);

k) imię Świętopełk nie było dla Mieszka I imieniem dynastycznym (s. 197);

l) Unger „najprawdopodobniej już przed 1000 r. był biskupem Poznania”, więc Jordan musiał mieć podobny status (s. 193);

m) sytuacja piastowskiego Kościoła w roku 1000 niewiele się różniła od wczesnych czasów Mieszkowych (s. 193);

---

<sup>1</sup> Jest to komentarz do tekstu D. A. S i k o r s k i e g o, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy i jeszcze bardziej tajemnicza metoda historiograficzna*, Roczniki Historyczne 79, 2013, s. 183-203.

<sup>2</sup> J. P i l c h, *Rozpacz z powodu utraty furmanki*, Kraków, 2003, s. 223.

<sup>3</sup> Zgodnie z tą specyficzną logiką, w zapisach „Sakurski”, „Sokarski” itd. zawsze rozpoznamy właściwego „Sikorskiego”.

n) *Schinesghe* to oczywiście Gniezno, które „stanowiło przynajmniej ideologiczne centrum Piastów” (s. 197 n.);

o) uznając Chrobrego za swojego władcę Czesi nie przywiązywali żadnego znaczenia do tego, że nosił on dynastyczne imię Przemyslidów (s. 197);

itd. itd. itd.

Podejrzewam, że taka książka (pewnie też będzie to „trylogia”) bardzo się wszystkim spodoba, bo będzie się składać wyłącznie z „kilku myśli, co nie nowe”, więc pewnie zbierze należne pochwały za pełną zgodność z obowiązującym kanonem i za brak jakichkolwiek kontrowersji. Czy jednak warto dzisiaj taką książkę pisać?

\*

Dariusz Andrzej Sikorski wyraźnie nie rozumie zasad dysputy naukowej, która dla Niego jest grą zerojedynkową, w której to Jego racja musi pozostać na scenie naukowej samotna, jako jedyny filar wiedzy o wczesnym średniowieczu. To nie jest pierwszy Jego tekst polemiczny, który charakteryzuje rzadko spotykana agresja słowna.

Widać też wyraźnie, że do pisania tej „recenzji” Dariusz A. Sikorski przystąpił z zamiarem zniszczenia *per fas et nefas* zwolennika poglądów innych niż te jedynie słuszne, tj. Jego własne. Widać to już w części wstępnej, gdzie z góry uprzedza czytelnika, że „większość poglądów wyrażanych przez P. Urbańczyka jest w oczywisty sposób błędna lub nieuzasadniona” (s. 183). Gdyby na tej oczywistej oczywistości zakończył swoją „recenzję”, to nie musiałbym tracić czasu na wykazywanie, jak bardzo nieuczciwe są niektóre z Jego argumentów i jak dalece on sam nie spełnia kwalifikacji „zony Cezara”, za którą chciałby uchodzić. Ale D. A. Sikorski z determinacją brnie dalej, zniżając się do poziomu, na który bardzo łatwo zejść, czego dowodzi poniższy tekst. Dostosowuję się więc z premedytacją do metody, która dla Niego stanowi naturalny sposób dyskusji, o czym świadczą również inne polemiczne plody Jego autorstwa.

Omawiana „recenzja” jest manifestem przekonania, że moja książka jest szkodliwa, bo skupiam się na „sprawach błahych, ale sensacyjnych” (s. 184), nie zajmuję się tym, co trzeba (s. 184 i 191), nie wnoszę „nowej jakości” (s. 202), „wybór podjętych problemów jest dyskusyjny” (s. 184), a poza tym nie znam Jego wszystkich wcześniejszych przemyśleń (pretensja kilkunastokrotnie powtórzona). Takie zarzuty to faworytne chwytły z arsenału polemistów, którym wydaje się, że pognębienie autora reprezentującego inny nurt historiograficzny przyciągnie uwagę czytelników niezrozumiale obojętnych na ich własną twórczość.

Zarzuca mi też, że „po przysposobieniu ich na użytek książki” (złożonej w Fundacji na rzecz Nauki Polskiej na początku 2012 r.) włączyłem do niej „teksty już wcześniej publikowane” (s. 184). Zazdroszczę D.A.S. ponadprzeciętnej sprawności intelektualnej, która pozwala Mu pisać teksty złożone wyłącznie z hipotez zupełnie świeżych i myśli całkowicie nowych. Ja niestety muszę krążyć przez jakiś czas wokół różnych tematów, zanim staną się częścią książki. Włączenie do monografii to najlepszy sposób zwrócenia uwagi na pewne hipotezy, których inaczej nawet D.A.S. nie zauważał.

Aby spełnić Jego oczekiwania, powinienem: rozważyć konsultację z Nim tematu i tytułu mojej następnej książki; zapytać Go, jakie widziałyby w niej części, jak zatytułować kolejne rozdziały i jak ująć poszczególne tematy; starannie przeczytać wszystkie (!) Jego dzieła i z szacunkiem nawiązać do każdej z Jego cennych myśli; oraz, na wszelki wypadek, prosić Go o *imprimatur* przed złożeniem pracy do druku.

Żeby zasłużyć na ostateczną akceptację, będę musiał jednak najpierw oświadczyć, że dopuszczalny jest tylko jeden sposób patrzenia na najwcześniejsze dzieje państwa piastowskiego. Ten wzorzec wyznaczają oczywiście prace D.A.S., które powinny stanowić kanon obowiązkowej lektury każdego polskiego, europejskiego, a nawet i światowego mediewisty. Dziwię się nawet, że D.A.S. zniżył się do polemiki z kimś, kto tej jedynie słusznej wykładni nie poznał dogłębnie przez lekturę całości Jego cennego dorobku pisarskiego, a szczególnie „jak najściślej związanych z tematem książki najświeższych propozycji” (s. 183)<sup>4</sup>. Oczywiście On sam nie uważa za

<sup>4</sup> Zapewne chodzi Mu o drugą i trzecią część Jego „trylogii”, które však zostały opublikowane dawno po złożeniu w Fundacji mojego maszynopisu.

stosowne, aby zapoznać się choćby z częścią moich publikacji i przez kilka lat cytował tylko jeden z moich artykułów, który kiedyś przypadkiem wpadł mu w ręce. A i „recenzowanej” książki też porządnie nie przeczytał, nerwowo ją kartkując w poszukiwaniu rzeczywistych i wymaganych błędów.

W tym kontekście dość żałośnie brzmi kilkunastokrotne (!) powtórzenie egocentrycznego rozczarowania, że nie mam precyzyjnej wiedzy o wszystkich jego pracach (dwa razy na s. 184; s. 190; s. 192; trzy razy na s. 193; s. 196; dwa razy na s. 198; s. 202), a nawet ukrywam swoją nimi inspirację (s. 192). Aby zrównoważyć te cierpienia, zwróć uwagę na dokładnie taką samą wadę jego tekstów. Na przykład na s. 13 drugiej części swojej „trylogii kościelnej”<sup>5</sup> D.A.S. dziwi się, że dotąd „Nie brano pod uwagę tego, że obie te prowincje [tj. Śląsk i Małopolska] mogły znajdować się w politycznym niebycie, tzn. nie musiały być w tym czasie ani częścią Czech, ani przynależać do władztwa Piastów”. Nie zdaje sobie więc sprawy, lub raczej nie chce tego przyznać, że ja napisałem to 9 lat wcześniej<sup>6</sup> i powtórzyłem w innych publikacjach<sup>7</sup>, poświęcając nawet temu problemowi jeden z rozdziałów mojej poprzedniej książki<sup>8</sup>. Jest to dobre potwierdzenie jego własnej obserwacji, że „nieznajomość literatury przedmiotu albo jej świadome ignorowanie sprzyja »odkryciom« naukowym” (s. 183). Nie będę tego erystycznie atrakcyjnego wątku kontynuował, choć znalazłoby się wiele ku temu powodów.

W przeciwieństwie do D.A.S. ja mam świadomość, że przy dzisiejszym zalewie publikacji nie jest możliwe przeczytanie wszystkich tekstów – nawet tych dużo bardziej zasługujących na dokładną lekturę niż Jego własne dzieła. Wiem też, że wraz z liczbą publikacji rośnie coraz bardziej prawdopodobieństwo, że wysunę ideę, którą już ktoś, kiedyś, gdzieś ogłosił i nagle zgłosi do niej pretensje autorskie. Przekroczyliśmy już bowiem granicę możliwości jednoosobowego zapanowania nad zalewem tekstów rozpowszechnianych w różnych mediach. Postulowanie zatem bibliograficznego rygoryzmu oznaczałoby zablokowanie ogłaszania jakichkolwiek „nowych” przemyśleń, bo przecież mogliśmy nie zauważyć ich obecności w potencjalnie dostępnej literaturze, a więc nie możemy wykluczyć nieuświadomionego „plagiatu”. Jak widać z powyższej uwagi, D.A.S. sam wpadł w taką pułapkę. Chyba, że świadomie ukrył inspirację moimi publikacjami, o co jednak nawet nie śmiem podejrzewać tak rzetelnego autora. Ten i inne podobne przypadki dowodzą jednak tylko, iż i On „nie opanował nawet podstawowej literatury, nie wykazuje często orientacji w zasadniczych problemach” (s. 183).

Aprioryczna niechęć do mojej książki odebrała D.A.S. zdolność czytania ze zrozumieniem. Inaczej trudno pojąć, dlaczego problem Wisły jako identyfikatora „polskiej” części Europy uznał za zagadnienie, które „z najwyższą trudnością można uznać za ważne nawet dla problemowej biografii Mieszka I” (s. 184). Celem tych rozważań było wykazanie braku podstaw źródłowych dla formułowania hipotez o istnieniu jakiegokolwiek „państwa Wiślan”, które miało być przedmiotową próbą ustanowienia scentralizowanej organizacji terytorialnej. Natomiast „obraz Europy Środkowej według źródeł arabskich” miał wzmocnić hipotezę o czerpaniu przez Piastów zysków ze sprzedaży niewolników, którzy docierali do wielu ośrodków Kalifatu. Ale może faktycznie powinienem był dodać do tych rozdziałów po akapicie wyjaśniającym sprawy, które w swojej naiwności uznałem za oczywiste dla przeciętnie inteligentnego czytelnika?

D.A.S. nie rozumie też najwyraźniej poglądów Władysława Duczki i Oleksieja Tołoczki (s. 187) odnośnie Polan. Może więc powinien się zwrócić do ich autorów o indywidualne konsultacje, w czym mogę pośredniczyć. Gotów jestem też objaśnić Mu, czego nie zrozumiał na s. 387 mojej książki (s. 198). Mylnie też D.A.S. wziął z jakiegoś powodu moje pretensje o „dziennikarskość” za podejrzewanie Go o postmodernizm, co uznał chyba za zniewagę (s. 184). Tymczasem mnie chodziło o naiwne deklarowanie przez Niego bezstronności, czy też

<sup>5</sup> D. A. S i k o r s k i, Początki Kościoła w Polsce, Poznań 2012.

<sup>6</sup> P. U r b a ŋ c z y k, Politická příslušnost Slezka v desátém století v nejnovější polské historiografii, w: Dějiny ve věku nejistot. Sborník k příležitosti 70. narozenin Dušana Třeštika, Praha 2003, s. 292-304.

<sup>7</sup> Np. P. U r b a ŋ c z y k, Rok 995 – Bolesław Chrobry wśród chrześcijan i barbarzyńców, w: Europa barbarica, Europa christiana. Studia mediaevalia Carolo Modzelewski dedicata, Warszawa 2008, s. 293-306.

<sup>8</sup> P. U r b a ŋ c z y k, Trudne początki Polski, Wrocław 2008, rozdz. 9.

tw. obiektywizmu, którego wymaga się od dobrego dziennikarza. W rzeczywistości historyk nie może być bezstronny, gdyż zajmuje stanowisko już samym wyborem tematu i jego ujęciem; jest stronniczy, bo musi mieć własne zdanie, nawet jeżeli próbuje je ukryć. „Neutralny” historyk, który nie zajmuje stanowiska w opisywanej przez siebie sprawie, jest tylko złudzeniem teoriopoznawczym. Nie można bowiem uniknąć określić wartościujących, jeżeli wychodzi się poza suche wyliczenie ogólnie znanych faktów, czy też kiedy polemizuje się z innymi badaczami, próbując uzasadnić swoje zdanie. Teksty autorstwa D.A.S. są oczywistym dowodem na prawdziwość tej tezy.

Mój wybitny adwersarz przyznał sobie funkcję głównego czyściciela polskiej mediewistyki – nie tylko w wydaniu historiograficznym, ale też i archeologicznym. Przyjętą przez niego metodą jest poddawanie miażdżącej krytyce wszystkich poglądów, które nie są całkowicie zgodne z jego własnymi. Odrzucając cudze wnioski, sam przezornie nie formułuje w zamian żadnych „ryzykownych” propozycji, które ożywiłyby zamierającą dyskusję. Stara się więc pozostać w bezpiecznej strefie niekonkretności, mnożąc bez końca wątpliwości.

W razie potrzeby ucieka się do manipulacji. Dobrym przykładem jest długa polemika z moją sugestią rozważenia morawskiego pochodzenia Piastów. D.A.S. stara się przekonać czytelnika, który nie zna mojej książki lub, tak jak on sam, nie zdołał przeczytać jej ze zrozumieniem, że ja przedstawiam ten pomysł historiograficzny jako pewnik i stara się na wszelkie sposoby wykazać jego niedorzeczność. W rzeczywistości wielokrotnie zastrzegam (np. na s. 150, 154, 156 i 165), że traktuję go jako hipotezę roboczą i zaproszenie do dyskusji. To jeszcze za mało? Proszę bardzo, na s. 421 samokrytycznie przyznałem, że „Jest to w istocie piramida przypuszczeń –, lecz chyba lepsza od biernego kontemplowania tezy o nagłej karierze obszaru zupełnie wcześniej niepredestynowanego do odegrania tak wielkiej roli historycznej”. Trudno zrozumieć zignorowanie tego ostrzeżenia inaczej niż w kategoriach jawnie złej woli „recenzenta”.

Nie chodzi tu już jednak o polemistę, który „wszystkich łąje i potraça”, ani nawet o różnicę poglądów na temat Mieszka I, lecz o problem dużo poważniejszy, tj. o sposób uprawiania nauki. W tej sprawie znajdujemy się „na słońcach swych przeciwnych” wizji i nie widać możliwości uzgodnienia stanowisk.

W przeciwieństwie do D.A.S. nie uważam, że istnieje tylko jeden uprawniony sposób czytania wczesnośredniowiecznych tekstów. Wręcz przeciwnie – siłą każdej nauki humanistycznej jest wielość podejść umocowanych w odmiennych koncepcjach teoretycznych. Wyniki rozmaitych metod interpretacji zależą nie tylko od samej zawartości źródeł, lecz również od przyjętych założeń teoretycznych, które często mają charakter wzajemnie konkurencyjny. Nie ma już bowiem teorii uniwersalnych i trzeba dokonywać wyboru spośród alternatywnych koncepcji. A różne schematy wyjaśniające skutkują zróżnicowaniem wniosków wywiedzionych z tych samych źródeł, które zostają poddane innym operacjom interpretacyjnym.

Toteż osiągnięcie jakiegś powszechnego zgody co do historiozofii, metodologii czy metodyki, nie mówiąc już o hieratycznej interpretacji źródeł, jest naiwną mrzonką. Odmienności poglądów nie da się łatwo ocenić w kategoriach ich „wartości” naukowej. Odzwierciedla ona bowiem zróżnicowanie naszych indywidualnych postaw badawczych na poziomie „paradygmatycznym”. Te różnice są wręcz gwarancjami żywotności polskiej mediewistyki. Tymczasem D.A.S. nie akceptuje wielogłosowości dyskursu historycznego i nie wyobraża sobie, że interpretacje przeszłości mogą się od siebie różnić. Naiwnie szuka ostatecznej prawdy – jedynie słusznej wykładni tego, jak należy myśleć i co należy myśleć.

Głęboka wiara D.A.S. w niepodważalną słuszność swoich własnych racji wypływa z przekonania o oczywistej przewadze jego metody badawczej, w której podstawowym kryterium jest „zdroworozsądkowa analiza” (s. 202), czyli tzw. chłopski rozum, który ma być główną podstawą ewaluacji hipotez. D.A.S. naiwnie wierzy, że jego rozważania pozbawione są jakichkolwiek odwołań do modeli teoretycznych, które On lekceważąco nazywa „spekulacjami”, gdyż nie rozumie heurystycznej funkcji „teoretyzowania”. Wydaje mu się, że jest „pozytywistą” (s. 184), ale nie zdaje sobie sprawy, że pozytywizm też wymaga pewnych rygorów metodycznych. Jest w tym przeciwieństwem pana Jourdain, który minąwszy czterdziesty rok życia jednak zrozumiał, że nieświadomie posługuje się pewnymi regułami wypowiedzi.

Można się tylko dziwić, że to właśnie w UAM wyrósł agresywny nurt negacji potrzeby rozważań teoretycznych. W Poznaniu, który był kolebką (np. L. Nowak, J. Topolski, J. Kmita) i jest ostoją (np. A. Pałubicka, W. Wrzosek, D. Minta-Tworzowska, H. Mamzer i E. Domańska) nowoczesnej myśli teoriopoznawczej, nagle dochodzi do tubalnego głosu przekonanie o zbędności wiedzy pozaźródłowej i o szkodliwości rozważań modelowych. D.A.S., który nie potrafi rozróżnić antropologii historycznej od historii antropologicznej<sup>9</sup>, widzi przyszłość historiografii w cofnięciu się do głębokiej przeszłości metodologicznej. Sam reprezentuje nawet nie pozytywizm, ale prymitywny naturalizm poznawczy, którego zwolennicy sądzą w swojej naiwności, że nie potrzebują żadnej teorii do porządkowania danych, bo prawda tkwi w samych źródłach.

Nauczenie się ich wszystkich na pamięć wraz z ich odmiennie zachowanymi wersjami i tekstami pochodnymi ma być gwarancją zrozumienia. Wynika to z głęboko zakorzonej, naiwnej wiary w samowystarczalność studiów źródłoznawczych, których przyrost „sam z siebie” ma się przełożyć na poprawę jakości naszej wiedzy. Kiedy jeszcze przeczyta się absolutnie wszystkie (!) poświęcone tym źródłom teksty, doznaje się wreszcie iluminacji. Nie ma bowiem przeszłości poza źródłami historycznymi, więc wychodzenie poza ich zasób jest nie warte zachodu, nieuprawnione, a wręcz powinno być zabronione. Nie należy, a nawet nie wolno, formułować jakiegokolwiek subiektywnej wizji przeszłych zdarzeń, bo przecież prawie nigdy nie mamy do tego wystarczającej podstawy źródłowej. Nie wolno wybierać którejs z dostępnych opcji interpretacyjnych, bo przecież nie mamy pewności, że właśnie ona jest najlepsza. Nie wolno proponować nowych rozwiązań, bo przecież zakres dopuszczalnych rozważań został już jednoznacznie wyznaczony. Należy się więc tylko ograniczyć do coraz bardziej wyrafinowanej analizy źródeł, która niedługo sięgnie już pewnie warstwy podprogowej.

I tu się radykalnie z D.A.S. różnimy. On uważa, że postępowanie w polskiej mediewistyce powinno polegać na cyzelowaniu zastanych koncepcji. Ja zaś jestem zwolennikiem Karla Poppera, który potwierdzanie uważał za zadanie jałowe w swojej nieskuteczności. Za dużo ważniejsze uznał podejmowanie prób kwestionowania wcześniejszych ustaleń – nawet tych, którym przyzwyczajenie nadało już cech hieratyczności. Chciałbym tu przypomnieć mojemu wybitnemu polemiciście zdanie jednej z najwybitniejszych współczesnych mediewistek, Susan Reynolds, która uznała, że dla współpracy historyków z archeologami „najlepszą drogą naprzód nie jest powielanie starych modeli, ale formułowanie nowych i wyraźnych hipotez”<sup>10</sup>. Stawianie pytań (nawet ryzykownych) jest wręcz obowiązkiem badacza, gdyż oferuje nadzieję otwarcia nowych horyzontów wiedzy lub choćby nowych płaszczyzn dyskusji. Każda próba zatrzymania tego procesu musi spowodować uwiędnięcie danej nauki.

Żeby przynajmniej były to próby poważne! Napisanej w nerwicowym pośpiechu „recenzji” D.A.S. do takich zaliczyć nie można. Stwarzając pozór systematyczności przez zachowanie „kolejności rozdziałów recenzowanej książki” (s. 184), w rzeczywistości przeskakuje czasem po kilkadziesiąt stron, szukając tylko tych tematów, na których się choć trochę zna, oraz zdań, a nawet pojedynczych słów, do których dałoby się przyczepić. Pozwala mu to stworzyć pożądane wrażenie całkowitej katastrofy naukowej. Jako pierwszy rzuca więc ciężkim kamieniem, zapominając o warunkach, jakie powinien spełnić taki śmiałek.

Autorem tej egzekucji miotają emocje, które skutkują jawnymi sprzecznościami. Najpierw oskarża mnie o niezajomość prac Waltera Pohla (s. 184), a potem podejrzewa o zainspirowanie się dotyczącymi wczesnych państw „spekulacjami” tegoż badacza (s. 185). Z jednej strony krytykuje moje nadmierne zainteresowanie „spekulatywnymi koncepcjami” M. Manna, a z drugiej wytyka, że z nich „chyłkiem zrezygnowałem” (s. 186). Przyznaje, że „pojęcie plebienia w historiografii jest używane intuicyjnie”, ale nie widzi potrzeby teoretycznego wyjścia poza intuicję, bo te przecież „nie muszą być błędne” (s. 186). Uznaje, że kontestowana przeze mnie kwestia imienia Mieszka „nie wniosła do dyskusji żadnych nowych argumentów”, a poświęca krytyce

<sup>9</sup> D. A. Sikorski, Jak historyk potyka się o antropologię historyczną?, *Kwartalnik Historyczny* 118, 2011, nr 3, s. 485-510.

<sup>10</sup> S. Reynolds, *The writing of medieval urban history in England*, *Theoretische Geschiedenis* 19, 1992, s. 55.

odpowiedniego rozdziału długie rozważania (s. 190-192), świadczące zresztą o niezrozumieniu moich argumentów i o nieznanomości podstawowych źródeł (por. dalsze uwagi). Z jakiegoś powodu uważa, że nie można rozważać ewentualnych organizacyjnych inspiracji Pragę w czasie ślubu z Dobrawą, bo ćwierć wieku później, tj. „pod koniec [!] życia Mieszka I – – to właśnie Poznań, jako siedziba władcy mógł być przykładem dla Pragi, a nie odwrotnie” (s. 194). Przyznając, że nie można wykluczyć zbudowania kompleksu kamiennych budowli w Poznaniu na „kilka lat przed przyjętą datą chrztu”, zaraz pryncypialnie wyklucza taką możliwość (s. 194 n.). Fakt, że aż 16 z 25 przenośnych ołtarzyków datowanych na XI w.<sup>11</sup> wykonano z czerwonego i zielonego porfiru wskazuje ponoć, że „kolor kamienia ołtarzowego nie odgrywał żadnej roli” (s. 200). Jak widać nadmierne emocje odbierają czasem zdolność logicznego myślenia nawet tak potężnemu mózgowi.

D.A.S. z dezynwolturą formułuje opinie kategorycznie krytyczne. W tej swojej pewności siebie jest wahałowym zaprzeczeniem pisarstwa Henryka Łowmiańskiego. O ile bowiem ów wielki historiograf wiedział, „jak było”, to jego młody epigon wie tylko, „jak nie było”. Nie wie, co wie, ale doskonale wie, czego nie wie. Ta świadomość niewiedzy pęta jego pióro. Uważa, że nie należy myśleć, mówić ani, broń Boże, pisać niezgodnie z kanonem wyznaczonym przez przeważające dzisiaj poglądy, których strażnikiem sam się mianował. Jest to próba zabetonowania polskiej mediewistyki, wynikająca z braku świadomości heurystycznych walorów stawiania trudnych pytań. Mogą one być nawet pozornie głupie, ale zasługują choć na chwilę refleksji poważniejszej od szyderstwa. D.A.S. tymczasem zezwala na dyskusję, ale tylko w ramach swojej własnej farmakopei, która ściśle wyznacza zakres pytań dopuszczalnych. Wszelkie inne (np. o realność przedpiastowskich plemion, o tzw. państwo gnieźnieńskie czy o inspiracje najstarszych zapisów imienia Mieszka I) z definicji nie są warte poważniejszej refleksji. Gdyby dać Mu wystarczającą władzę, to by zabronił mi mówić, pisać, a nawet myśleć po mojemu!

Już mu się przecież zdawało, że stoi na stabilnym fundamencie ostatecznych ustaleń, który zabetonował własnymi pracami. A tu nagle ktoś zaczyna wyciągać mu spod nóg pojedyncze kamienie, które tam na siłę wcisnął, udając, że tworzą stabilną konstrukcję. To spowodowało nerwowość, a ta redukuje staranność argumentacji i skutkuje błędami, których nie uniknął nawet badacz tak skrupulatny, jak D.A.S.

A przecież jego ulubioną metodą „recenzyjną” jest wytykanie drobnych potknięć, aby wykazać, że krytykowany autor jest co najmniej niedouczonego amatorem, co pozwala uznać za „w oczywisty sposób błędne” (s. 183) wszystkie jego poglądy<sup>12</sup>. Tę metodę ustawiania sobie przeciwnika bardzo łatwo zastosować również do tekstów D.A.S. Przy tym, jak pisze, „nie ma sensu dokonywanie szczegółowego rozbioru – – [jego „recenzji”], wystarczy kilka przykładów”. Nie będę się zbytnio znęcał nad Jego naiwną wizją archeologii, bo byłoby to zachowanie nie fair w stosunku do historyka, który z godnym podziwu mozołem próbuje wyjść poza granice swoich dyplomowych kompetencji. Uważam bowiem, że w takich przypadkach minimum oczekiwań to przynajmniej uznanie dobrej woli tych, którzy przekraczają granice dyscyplinarne. Spójrzmy więc na jego skrupulatność bibliograficzną oraz znajomość literatury i źródeł, których tak wymaga od innych.

Zniżając się do poziomu niektórych z Jego komentarzy, zwracam uwagę na ważny dla jego ataku przyp. 7 (s. 185 n.). Jego zawartość dowodzi, że nasz purysta nie potrafi nawet poprawnie przepisać tytułu kluczowej dla swojej krytyki książki Michaela Manna, robiąc w nim kardynalne, bo zmieniające sens, błędy ortograficzne (jeden powtarza nawet dwukrotnie). Najwyraźniej za jakimś pośrednictwem cytuje też dwa zdania po angielsku, których sensu wyraźnie nie rozumie, bo nie przeczytał kontekstu poprzedzającego i zamykającego i nie wyczuwa znaczenia przecinka. Poza tym zmienił początkową literę z dużej na małą, sugerując dokonanie daleko idącego skrótu.

Przyjęta przez D.A.S. metoda dyskusji naukowej pozwala mi uznać takie nagromadzenie dość śmiesznych błędów za podstawę odrzucenia wszystkich innych Jego przemyśleń.

<sup>11</sup> Dla wzmocnienia swojej argumentacji D.A.S. sprytnie pomija okazy starsze i młodsze.

<sup>12</sup> Pewnie to właśnie Jego ma na myśli B. Śliwki, *Bezprym pierworodny syn pierwszego króla Polski* (986 – zima/wiosna 1032), Kraków 2014, s. 33, ostrzegając przed takimi polemistami.

Można bowiem podejrzewać, że są one pokłosiem podobnego niezrozumienia lub nieznajomości przywoływanych tekstów – nie tylko angielskich, ale też i łacińskich. Zgodnie z jego metodą krytyki naukowej, takie nagromadzenie prościutkich błędów w jednym tylko przypisie całkowicie dyskredytuje Go jako poważnego badacza. Pozwala to zarzucić nawet nie brak „staranności w kwerendach” (s. 184), ile wręcz podejrzewać, że nigdy nie miał w ręce książki angielskiego autora.

Śpiesząc się ze swoją miążdzącą „recenzją” D.A.S., popełnił też inne żenujące błędy, polegając na swojej pamięci, która sprowadziła go na wstydlive manowce. Na przykład znalazł jakimś cudem w Biblii imię *Masacho* (s. 191), którego w rzeczywistości tam nie ma. Wykazuje też sporą dezynwolturę w interpretacji niektórych relacji Thietmara. W trakcie wyłapywania tych i innych błędów „nieustająco powracało pytanie: jak tekst, który swoim poziomem naukowym tak znacznie odbiega (*in minus*) od przeciętnej dla innych prac historycznych, przeszedł wszystkie procedury kwalifikujące go do wydania” (s. 203).

Wzruszająca jest naiwna prostota niektórych argumentów D.A.S.: nazwy „plemienne” zapisane przez tzw. Geografa Bawarskiego są jak najbardziej wiarygodne, bo trudno mu uwierzyć, że „nieznający słowiańskiego języka autorzy tak akuratnie wymyślali owe nazwy w języku Słowian” (s. 186); jeżeli potwierdzone są kolektywne nazwy połabskie, to dowodzi to również prawdziwości wszystkich „etnonimów” lokowanych intuicyjnie na ziemiach polskich (s. 186); jeżeli Rzymianom wydawało się, że na ich germańskim obrzeżu funkcjonowały „plemiona liczące ponad 100 tysięcy ludzi, posiadające scentralizowaną władzę, nawet ze złożonymi strukturami”, to jest to dowodem na istnienie takiej samej sytuacji kilkaset lat później na wczesnośredniowiecznej Słowiańszczyźnie (s. 186 n.); mimo ewidentnych różnic „we wszystkich tych tekstach [z X i początku XI w.] zapisy imienia Mieszko są praktycznie jednobrzmiące” (s. 191); ponoć „zdobycz techniczna w postaci techniki hakowej nie jest w rzeczywistości niczym skomplikowanym ani wyrafinowanym” (s. 195)<sup>13</sup>; pisząc, że „w tym czasie mapy (w kraju Mieszka chyba i tak nie znane) były zazwyczaj odwrotnie orientowane niż dzisiaj” (s. 197 n.), zapomina, że oryginalna podstawa *Dagome iudex* została najprawdopodobniej spisana w Rzymie, a tamtejsze tradycje kartograficzne dobrze oddaje choćby *Tabula Peutingeriana*, która jest orientowana właśnie na północ, a nie na południe. Jak widać, D.A.S. „okazuje się niestety całkowicie bezbronny wobec własnych pomysłów, z którymi najwidoczniej bardzo trudno mu się rozstać” (s. 202).

Nieznajomość współczesnej archeologii pozwala mu formułować radykalne opinie wynikające ze zwykłej ignorancji. Takie „poruszanie kwestii [archeologicznych] – bez przygotowania musi wieść na manowce”. Dobrym przykładem jest cytowana już przeze mnie wyjątkowo arogancka opinia, że jedno zdanie z *Dagome iudex* jest warte więcej niż praca trzech pokoleń archeologów<sup>14</sup>. D.A.S. nie chce też zaakceptować, że jeden zabytek kamienny może zainspirować rozbudowaną hipotezę o miejscu pochowania Mieszka I, ale równocześnie nie dziwi Go, że pojedyncze słowo *Dagome* od dziesięcioleci emocjonuje rzesze historyków, którzy swoimi przemyśleniami zapisali steki stron.

Sam D.A.S. ogranicza się w swoich analizach „archeologicznych” głównie do operowania planami kościelnych fundamentów, co z archeologią ma niewiele wspólnego. To jednak pozwoliło mu dokonać rewelacyjnego wprost odkrycia pod bazyliką poznańską, gdzie przenikliwie dostrzegł „pierwszą, niewielką katedrę z czasów Jordana” (s. 193), nie dostrzeżoną dotąd przez badaczy architektury. Pozorna wiedza archeologiczna pozwala mu też podtrzymywać już nieaktualne przekonanie, że „na Morawach było bardzo rozwinięte” budownictwo murowane (s. 190), choć dzisiaj uważa się, że na kamiennych fundamentach stały tam tynkowane budynki drewniane. Nie rozumie także, iż wydatowanie początków jakiegoś grodu (np. Giecza) na IX w. nie oznacza automatycznie ciągłości jego użytkowania aż do czasów Mieszka I (s. 190). To wszystko „z pewnością pasuje do wyobrażeń Autora o tym okresie, ale nijak się ma do naszej wiedzy” (s. 193), z którą mógłby się zapoznać w powszechnie dostępnych publikacjach.

<sup>13</sup> Równie niewyrafinowany i nieskomplikowany jest młotek, ale ktoś musiał go wymyśleć!

<sup>14</sup> D. A. S i k o r s k i, [głos w dyskusji], w: *Archaeologia versus historiam, historia versus archaeologiam, czyli jak wspólnie poznawać średniowiecze*, Poznań 2012, s. 91-93, tu s. 92.

Poza tym powołuje się na przypadkowo wybrane opinie archeologów, nie znając kontekstów toczących się dyskusji. Gdyby się z nimi zapoznał, to by się zastanowił przed napisaniem, że „w tym czasie nie można traktować chrześcijaństwa łacińskiego i wschodniego jako oczywistej opozycji” (s. 198). Pomijając inne zdanie niektórych badaczy myśli teologicznej i liturgii oraz historyków sztuki, akurat polskie świadectwa archeologiczne wyraźnie wskazują rozgraniczenie wpływów obu nurtów chrześcijaństwa w postaci zasięgu tolerowanych na wschodzie pochówków kurhanowych i rozkładu charakterystycznych przedmiotów – np. enkolpionów. Składam to na karb Jego „tak samo powierzchownej, jak w poprzednich publikacjach, znajomości literatury” (s. 184).

Nie zechciało się D.A.S. przejść kilkuset metrów do poznańskiego ratusza i do Muzeum Archeologicznego, aby wziąć do ręki zabytki kamienne, które sprowokowały mnie do rozważań o miejscu pochowania Mieszka I. Opiera więc swoją wiedzę na moim schematycznym opisie obu zabytków, którego na dodatek nie rozumie. Świadczy o tym choćby wmawianie czytelnikowi, że artefakt, na którym się skupiam, ma grubość 2,5 cm (s. 199), co wynika z zadziwiającego jak na tak potężny umysł niezrozumienia dość prostego chyba zdania ze s. 403 mojej książki. D.A.S. przeprowadza analizę słów, a nie przedmiotów, co zrobiłby nawet student archeologii. Gdyby jednak poszedł do muzeum, to ściskając w rękę ten „kamyk zielony”, dostrzegłby w nim może powód do refleksji wykraczającej poza zapis na metryczce?

Mimo tak rażącej niewiedzy o archeologii, „która wymaga przede wszystkim znajomości warsztatu – , jak i orientacji w literaturze” (s. 196), D.A.S. poucza mnie, że mój „sposób interpretowania materiału archeologicznego jest w pewnych punktach więcej niż kontrowersyjny”, a nawet „zaskakująco powierzchowny” (s. 202). To poczucie wyższości jest częścią szerszego zjawiska. Niepostrzeżenie wyrosło bowiem w Polsce pokolenie mediewistów-historyków, którzy w przeciwieństwie do swoich mistrzów próbują zatrzymać współpracę obu nauk o średniowieczu. Sami nie zadają sobie trudu wniknięcia w niuanse analizy archeologicznej, ale równocześnie zazdrośnie bronią swojego podwórka przed „amatorszczyzną” archeologów, którzy próbują wskazać słabe punkty ich kanonicznej wizji Polski wczesnopiastowskiej.

Poucżając innych, D.A.S. sam wykazuje podstawowe braki źródłoznawcze. Gdyby przed napisaniem swojej „recenzji” zechciało mu się zajrzeć do Wulgaty, to może znalazłby tam zamiast wydumanego przez siebie *Masacho* dwukrotnie powtórzone w Księdze Daniela (I 7 i II 49) imię *Misac*? Może by się wtedy zastanowił przez chwilę, czy ewidentne podobieństwo tej wersji z zapisem Widukinda, który nie mógł nie znać tłumaczenia św. Hieronima, było tylko wynikiem niezwykłego wprost przypadku? Nie trzeba chyba wielkiej przenikliwości, aby dostrzec, że widukindowe *Misaco* i *Misaca* to tylko odmiennie zakończone warianty starotestamentowego imienia. D.A.S. tego nie dostrzega, w czym „widać niestety skutki pobieżnej znajomości literatury i samych źródeł” (s. 192).

Tak samo można skomentować uznanie za skutek czystego przypadku podobieństwo *Mškh* Ibrahima ibn Yaquba do *Mškh* (*Meshek*) ze Starego Testamentu, gdzie nazwano tak wnuka Noego, szóstego syna Jafeta (Rdz. 10:2; 1 Krn. 1:1), syna Arama (1Krn. 1:17), albo też znajdujący się gdzieś na północy lud/kraj (Ps. 120: 5; Iz. 66:19; Ez. 27:13, 32:26), który miał swojego księcia (Ez. 38:2-3, 39:1). Ibrahim nie mógł nie znać tego dziewięciokrotnie powtórnego imienia/etnonimu/choronimu, więc analogiczne zapisanie imienia Mieszka I trudno uznać za nieuświadomiony zbieg okoliczności.

Dla D.A.S. te podobieństwa na poziomie zapisów źródłowych są jednak całkowicie przypadkowe i nie warte jakiegokolwiek zastanowienia. Natomiast od razu dostrzega uderzające wprost podobieństwo toponimu *Schinesghe* do Gniezno. Jak widać, jego spostrzegawczość zależy od zgodności danego poglądu z miłą jego sercu ortodoksją. Żadne próby poszerzenia pola dyskusji nie mieszczą się w Jego głowie, gdyż burzą mu spokój osadzony na przekonaniu, że jest tylko jeden kanon interpretacyjny – ten, który D.A.S. uznaje za jedynie słuszny. Jeżeli te moje próby poszukiwania biblijnych źródeł dwóch najstarszych zapisów imienia Mieszka I są dla niego „niestety wyłącznie spekulacjami” (s. 191), to niektóre z jego dywagacji (np. interpretacje świadectw archeologicznych) zasługują co najwyżej na miano elukubracji.

Przy okazji obrony ortodoksji gnieźnieńskiej ten skrupulatny ponoć czytelnik przypisuje mi wymyślenie jakiegoś „państwa szczecińskiego” (s. 198). Widać przemożną chęć zmiążdżenia



przeciwnika sprawiła, że produkt własnej wyobraźni przedstawił jako cytat z mojej książki. W innym miejscu suponuje mi przekonanie, że „rozmiar jest wprost proporcjonalny do rangi kościoła” (s. 194). Jak widać, Schopenhauer mógłby uczyć się od niego nieczystych chwytów erystycznych.

Jest to skutkiem niezwyklej wprost pewności siebie, która sprawia, że D.A.S. nie uznaje żadnych autorytetów poza swoim własnym. Ma do tego podstawy, bo sądząc z Jego publikacji, stał się już specjalistą od: antropologii, arabistyki, hebraistyki, archeologii, historii architektury, dendrologii, geofizyki, petrologii, radiologii<sup>15</sup> oraz religioznawstwa. I pewnie na tych dziedzinach nie skończy. To pozwala mu z dużą swadą recenzować naiwność badaczy, którym wydaje się, że mają o tych zagadnieniach jakąś wiedzę. Na polu historii dawno już przerósł swoich mistrzów, tj. Gerarda Labudę i Jerzego Strzelczyka. Toteż słusznie oczekuje od każdego, kto chce pisać o średniowieczu, żeby dogłębnie poznał wszystkie dzieła D.A.S., o czym co krok natrętnie przypomina.

Ci niezbyt zorientowani zasługują tylko na miażdżącą krytykę, która jest jedynym celem pisanych przez Niego „recenzji”. Ale, nastawiając się na pryncypialną negację, D.A.S. amputuje sobie zdolność pozytywnego myślenia i stacza się w nihilizm poznawczy. Jego postulatem badawczym wydaje się być kontemplowanie skromności zasobu zachowanych tekstów, które ostatecznie definiują przeszłość. Jeżeli bowiem nie mamy stuprocentowej pewności źródłowej, to nie wolno nam formułować żadnej ryzykownej myśli. Może dałbym się D.A.S. przekonać, gdyby nie to, że sam co i rusz formułuje zdania, które musi rozbrajać zastrzeżeniami typu: „chyba”, „być może”, „zapewne”, „prawdopodobnie” i „najprawdopodobniej”. Podkreśla tym samym spekulatywność swoich własnych opinii, którą u mnie tak bardzo krytykuje.

Tajemnica wyzierającej z jego „recenzji” zjadłości wyjaśnia się dopiero na końcu lektury. Jej autor wyraża tam, odnoszący się z pewnością do własnych doświadczeń, żal, że „produkty rzetelnych i skrupulatnych badań nie zawsze są przez środowisko właściwie doceniane” (s. 203). Może bym go nawet wsparł w tej frustracji, że nie jest właściwie doceniany w Polsce i zupełnie niedostrzeżony za granicą, ale powyższe uwagi dowodzą, że przynajmniej część publikacji D.A.S. trudno uznać za produkty badań rzetelnych i skrupulatnych.

Dopiero w ostatnim akapicie D.A.S. daje otwarcie upust swojej pretensji, że moja książka „przeszła wszystkie procedury kwalifikujące ją do wydania”. Żal to uzasadniony, bo Jego książka nie sprostала tym samym procedurom w konkursie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Na domiar złego moja książka została wyróżniona przez MNiSW, co też go oburza (s. 203). Zapomniał dodać, że moja poprzednia książka, którą też „wytupał”, dostała nagrodę Klio I stopnia. Rozumiem żal autora, który poświęcił kilkanaście lat na mozolne napisanie monografii, którą dla zwiększenia swoich szans podzielił na trzy książki i dostał tylko nagrodę III stopnia za jedną z nich. To niewątpliwie jest dowodem istnienia rozgąłęzionego spisku, który ma zdezawuować Jego cenny dorobek.

Gdyby to zależało ode mnie, to bym Mu dał jakąś lepszą nagrodę. Na pewno nie byłaby to jednak nagroda za dyscyplinę wywodu i jasność wypowiedzi. D.A.S. bowiem programowo pisze tylko dla kilkunastu kolegów-specjalistów i dla swoich studentów, którzy jego teksty muszą przeczytać z obowiązku. Najwyraźniej jest przekonany, że język dzieła prawdziwie naukowego musi być taki, aby czytelnik zrozumiał, że ma do czynienia z wiedzą natchnioną, przeznaczoną dla elitarnego grona współwyznawców jedynie słusznej wykładni. Niewtajemniczeni muszą poczuć swoją małość.

Żeby nie być posądzonym o nadmierną złośliwość, wybrałem sobie „losowo” setne strony każdej z trzech części jego „trylogii”. Z nich wybrałem po jednym zdaniu, które dobrze ilustrują ów specyficznie „naukowy” styl:

1) „Argumenty badaczy odwołujących się w celu ustalenia właściwej interpretacji spornego fragmentu do »rzeczywistości historycznej« z lat 963 i kilku następnych mają tę słabość, że

<sup>15</sup> D.A.S. jest niewątpliwie odkrywcą „węglików” i „węglowych wtrętów” – zob. jego książkę *Wczesnopiastowska architektura sakralna* (jako źródło historyczne do dziejów Kościoła w Polsce), Poznań 2012, s. 10-11.

przywołują jako argument nie znaną nam z góry rzeczywistość, ale zrekonstruowaną, zależną od wielu hipotez będących jej fundamentem – można dodać, iż rekonstruowaną również przy wsparciu hipotezy, której prawdziwość chce się właśnie wykazać” (Kościół w Polsce za Mieszka I i Bolesława Chrobrego, Poznań 2011, s. 100).

2) „Nieliczne fragmenty ceramiki datowanej na schyłek X wieku, ze względu na podobieństwo do ceramiki z kotliny czeskiej, mogą być interpretowane jako ślady pobytu Czechów, ale równie dobrze mogą być importem technologii czy samych naczyń przywiezionych nie przez czeską załogę, ale kupców osiedlających się czy to w Krakowie, czy to w pobliżu lub być importem dokonany przez miejscową ludność” (Początki Kościoła w Polsce, s. 100).

3) „Na podstawie wyników badań georadarowych dowiadujemy się więc jedynie o istnieniu pewnych struktur zakłócających rozchodzenie się fal, natomiast niewiele można powiedzieć o ich charakterze, nie mówiąc już o tym, że wyniki nie dostarczają żadnych wskazówek pozwalających datować namierzone struktury” (Wczesnopiastowska architektura sakralna, s. 100).

To żmudne piętzenie zdań wielokrotnie złożonych ma pewnie przykryć rozbrajającą trywialność zawartych w nich treści, które dla ich autora są jednak najwyraźniej ważnymi odkryciami! Podobnymi banałami udało mu się dociągnąć do 1000 stron, którymi tak bardzo się chwali (s. 192), a które świadczą tylko o nieumiejętności sprawnego zwerbalizowania swoich przemyśleń. Może to ta nieporadność wypowiedzi sprawia, że owe „produkty rzetelnych i skrupulatnych badań” nie zostały przez niewdzięczne środowisko „właściwie docenione” (s. 203).

Chyba D.A.S. pozostanie w swojej miażdżącej krytyce osamotniony, bo nie uda się już wstrzymać druku pozytywnych recenzji mojej książki napisanych przez mediewistów z Czech (Archeologické rozhledy) i z Rosji (Studia Slavica et Balcanica Petropolitana). Dowodzą one, że mimo wysiłków D.A.S. „karawana idzie dalej” i pewnie nigdy się nie zatrzyma, bo osiągnięcie ostatecznego konsensusu odnośnie wizji przeszłości jest po prostu niemożliwe. Wcześniej czy później nieuchronnie pojawią się zarówno niepokorni wizjonerzy, jak i fundamentaliści, którzy nawet D.A.S. zarzucając nieuzasadnioną źródłowo niefrasobliwość. W humanistyce jedynym skutecznym recenzentem jest bowiem czas. Nawet najgłębsze przekonanie autora o wielkości swojego własnego dzieła może nie przekonać czytelników. Dzisiaj każdy z nas może wierzyć, że „Lud pójdzie za mną”, ale okaże się to dopiero po latach. Nie zmienia tego nawet najbardziej desperackie próby zwrócenia na siebie uwagi. Chyba więc lepiej się wzajemnie ignorować niż nadmiernie denerwować.

\*

D.A.S. jest przekonany, że tworzy arcydzieła, które powinny być wzorcem dla wszystkich; nie dostrzega swoich licznych słabości; demonstruje poczucie pogardliwej wyższości wobec oponentów, hołduje spiskowej teorii życia naukowego i nie widzi zalet różnorodności. Dyskutować z nim właściwie się nie da, bo polemikę traktuje jak atak personalny, który trzeba za wszelką cenę odeprzeć, eskalując wymaginowany konflikt.

Ja piszę, aby skłonić czytelnika do refleksji historycznej, mając tym samym nadzieję, że moje teksty okażą się jakoś pożyteczne. Wiem, że tylko „bywam” historykiem, co nieubłaganie skutkuje wieloma problemami. Analizuję, szukam i dociekam, mając świadomość własnej niedoskonałości; prowokuję, stawiając znaki zapytania nawet w kwestiach już dawno uznanych za rozstrzygnięte. Dla mnie dyskusja naukowa to nie jest wojna o moje własne opinie, które mogą być błędne czy wręcz żalodne, lecz o prawo ich głoszenia bez obawy o zderzenie się z *furor Sikorscianus*.

Kiedy Gerard Labuda opublikował krytyczne omówienie mojej poprzedniej książki, poczułem się tym wręcz zaszczycony, tym bardziej, że z tej okazji przysłał mi miły list. Po przeczytaniu „recenzji” D.A.S. czuję tylko zażenowanie Jego egocentryzmem, niepomaganą niechęcią dla odmienności poglądów, niestosownym uzalaniem się nad samym sobą, nachalnością w autoreklamie i brakiem litości dla błędzących. Nawet „miedzi” w tym nie ma, ale jest wielki „cymbał brzmiący”. Agresywnie demonstrowane poczucie własnej wyższości naukowej, intelektualnej, a nawet i moralnej, wynika pewnie z obawy o osłabienie fundamentów wieży z kości słoniowej swoich własnych przekonań, w której D.A.S. czuje się bezpiecznie. Słabość argumentacji pokrywa więc napastliwością, czym różni się zasadniczo od swoich mistrzów. No, ale szacunku

dla różnorodności poglądów, która jest solą każdej nauki, nabywa się widocznie z wiekiem i z doświadczeniem. Może również dr hab. Dariusz Andrzej Sikorski kiedyś dorośnie? Może przyjdzie Mu do głowy, że Jego wizja nie jest jedynie słuszną wykładnią dziejów zamglonych przez upływ czasu? Może nauczy się spierać bez jadu zapoznanego geniusza? Jako niepoprawny optymista wierzę, że kiedyś tak się stanie, chociaż ja już tego pewnie nie dożyję.

*Przemysław Urbańczyk (Warszawa)*

PS. Mój adwersarz obniżył dysputę naukową do poziomu, na który bardzo łatwo zejść, czego dowodzi powyższa odpowiedź. Nie uważam jednak tego rodzaju „dyskusji” za wartą poświęcania jej więcej uwagi. Toteż uprzedzam, że już nie zareaguję na jego dalsze wynurzenia, które bez wątpienia nastąpią!